

Między rządami USA i Izraela nie ma żadnej różnicy

15 marca 2015

Uri Awneri jest bez wątpienia najbardziej dalekowzrocznym, intelektualnie i filozoficznie usposobionym przedstawicielem izraelskiej lewicy, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Podobnie jak T. S. Eliot, posiada on umiejętność wyrażania najgłębszych prawd przy użyciu zaledwie kilku słów. O każdym eseju, który napisał, mogłem powiedzieć: Dokładnie, to jest to! Jednak po raz pierwszy od 40 lat nie mogę zgodzić się z tym wielkim człowiekiem.

Zasugerował bowiem, że wtorkowa wizyta Benjamina Netanjahu w Kongresie na zaproszenie republikanów – na dwa tygodnie przez wyborami do Knesetu oraz bez zgody i chęci Obamy na spotkanie się z tym starym łajdakiem – niszczy jednogłośnie, dwupartyjne amerykańskie wsparcie dla polityki Izraela. Zdaniem Uriego po raz pierwszy w historii pozwolono demokratom na krytykowanie Izraela.

To całkowita niedorzeczność.

Kongresmeni z obydwu partii płaszcą się, niemalże mdleją i wydają okrzyki poparcia dla Bibiego i jego poprzedników z większym entuzjazmem niż rzymski tłum w Koloseum. Kiedy Bibi ostatnio pojawił się na Kapitolu, otrzymał dosłownie dziesiątki owacji na stojąco od przypominających stado owiec reprezentantów amerykańskiego społeczeństwa, których bezkrytyczne uwielbienie państwa izraelskiego oraz skrajny, podszyty tchórzostwem, strach przed posądzeniem ich o antysemityzm sugerują, że Bibi mógłby być znaczenie bardziej popularny jako prezydent Stanów Zjednoczonych aniżeli Barack. Przydaje się tu również jego nieskazitelny amerykański akcent.

A jego cele – pozyskanie dla siebie głosów wyborczych oraz zniszczenie jedynego osiągnięcia polityki zagranicznej za

rządów Obamy – nie wpłyną absolutnie w żaden negatywny sposób na izraelsko-amerykańskie stosunki. Kiedy Bibi zrobił z siebie pośmiewisko podczas obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ – prezentując dziecinny rysunek rzekomo irańskiej bomby z czerwoną linią pośrodku, oświadczając, że Iran jest w stanie stworzyć broń nuklearną przed końcem 2013 roku – amerykańskie media potraktowały ten niewątpliwie komiczny wyskok dosyć pobłażliwie. Owe mityczne ostateczne terminy regularnie tracą ważność od ponad dekady, niemniej jednak nadal oczekuje się od nas, że będziemy je brać na serio. Obama usiłuje osiągnąć porozumienie z Iranem, co mogłoby zapobiec produkcji jakiegokolwiek broni nuklearnej przez tę Islamską Republikę.

Bibi chce zniweczyć tę szansę. Domaga się kolejnych sankcji. Chce wygrać wybory zaplanowane na 17 marca. Mógłby nawet zbombardować Iran, co doprowadziłoby do natychmiastowej militarnej odpowiedzi wymierzonej przeciwko Stanom Zjednoczonym. Ale w Kongresie zamierza powiedzieć, że to egzystencja Izraela jest zagrożona. Zdaniem Uriego Bibi będzie pluł Obamie prosto w twarz. Uri Awneri napisał w sobotę: „Nie sądzę, żeby coś takiego kiedykolwiek miało miejsce. Premier małego państwa-wasala, uzależnionego od Stanów Zjednoczonych praktycznie pod każdym względem, przylatuje do USA i podważa autorytet prezydenta tego kraju, w rzeczy samej wyzywając go od krętaczy i kłamców [...] Netanjahu tylko po to, by wygrać wybory, gotów jest poświęcić najbardziej żywotne interesy Izraela [...] niczym Abraham skłonny zamordować własnego syna, byleby tylko przypodobać się Bogu.”

Nie chcę wybielać cynizmu Bibiego. Nawet Uri przyznaje, że nie jest w stanie wyobrazić sobie bardziej przebiegłego wyborczego triku: „Wykorzystanie Kongresu Stanów Zjednoczonych jako narzędzia wyborczego to mistrzowskie zagranie”. Premier Izraela wie, że ujdzie mu no sucho każdy eksces z Ameryką – z taką samą pewnością, z jaką może wspierać własną armię, która morduje setki dzieci w Strefie Gazy w rzekomym „akcie samoobrony” Izraela. Przemowa Bibiego w Kongresie będzie tak

karykaturalna, przejawiona, jak patologicznie zmasowane jest bombardowanie przez jego żołnierzy największych slumsów świata.

Ale nic mu się nie stanie. Mówi się nam, że demokraci są zmartwieni, a Obama nieziemsko wkurzony. Za to kandydatka demokratów na stanowisko prezydenta USA nie jest dla Bibiego już żadną przeszkodą. To Hilary, pamiętacie, powiedziała zeszłego lata, że nie jest pewna, czy „istnieje możliwość podziału winy” za masakrę w Gazie, „gdyż z powodu mgły wojny [celowego maskowania działań przez uczestników konfliktu] trudno określić, co tak naprawdę ma miejsce”. Media mogą zaciemniać obraz tego, co tam się dzieje. „Niejednokrotnie myślę sobie, że udręka, na jaką jesteście narażeni w związku ze sposobem relacjonowania z miejsca wydarzeń, pokazywania kobiet i dzieci, i całej tej reszty [sic], utrudnia dotarcie do prawdy”. A zatem im mniej reporterów, tym bliżej do prawdy na temat śmierci kobiet i dzieci, i „całej tej reszty”, ale bez obaw, wszystko do was dotrze. Nic dziwnego, że według New York Timesa liberalni syjoniści niepokoją się, że Hillary za bardzo zbliżyła się do Bibiego.

Jeśli chodzi o republikanów, no cóż, spójrzmy na starego Jeba Busha, który obiecuje, że gdy zostanie szefem Stanów, to zrobi generalne porządki. Żadnego spojrzenia „wstecz”, co zrozumiałe, na tatusia George’a i dużego bracha George’a. W. Ale już w skład jego przyszłych doradców wejdą prawdopodobnie Paul Wolfowitz, John Hannah (były „doradca ds. bezpieczeństwa narodowego” Cheney), Michael Hayden (to ten, który wprowadził w błąd Kongres w sprawie tortur) i Condi Rice – na cześć której nazwano tankowiec, aby go potem przemianować – innymi słowy, ta sama plugawa banda, która stoi za bajką o „bronim masowego rażenia”, śmiercią setek tysięcy Irakijczyków, długu w wysokości wielu bilionów dolarów, torturami i słynnym „grzybem dymu” (prawdziwą „mgłą wojny”, jeśli kiedykolwiek naprawdę istniała). Felietonista Maureen Dowd jest zdania, że Jeb Bush powinien pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy

zadali „Ameryce głębokie rany”. Dlaczego miałyby to zrobić? Jedynym „drobnym” faktem, o którym nie wspomina Jeb, jest rola Izraela w 2003 roku w forsowaniu ściemy o broni masowego rażenia oraz rzekomych powiązaniach Saddama ze „światowym terrorem”.

Bibi, co zrozumiałe, nie nawiąże do tego faktu na wtorkowym spotkaniu w Kongresie. Członkowie Kongresu będą okłaskiwać na stojąco wywody Bibiego o irańskiej broni masowego rażenia oraz o powiązaniach Państwa Islamskiego ze „światowym terrorem”. Jaka szkoda, że Bibi nie urodził się w Nowym Jorku. Moglibyśmy mieć wówczas prezydenta Netanjahu – i przestać wreszcie udawać, że jest jakaś różnica pomiędzy amerykańskim i izraelskim rządem.

Autorstwo: Robert Fisk

Źródło oryginalne: The Independent, SOTT.net

Tłumaczenie i źródło polskie: [PRACowniA](#)